

Miasto na żądanie

aktywizm, polityki miejskie, doświadczenia

pod redakcją
Łukasza Bukowieckiego
Martyny Obarskiej
Xawerego Stańczyka



Warszawa 2014

Publikacja powstała we współpracy z kwartalnikiem „Res Publica Nowa”

Recenzent
prof. dr hab. Ewa Rewers

Redaktor prowadzący
Małgorzata Yamazaki

Redakcja
Danuta Trzpił

Redakcja techniczna
Zofia Kosińska

Korekta
Elwira Wyszyńska

Indeksy
Łukasz Bukowiecki, Martyna Obarska, Xawery Stańczyk

Projekt okładki i wnętrza książki
Jan Bajtlik

Skład i łamanie
Logoscript

ISBN 978-83-235-1158-8

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014

Publikacja dofinansowana przez Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego
i afiliowana przy Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
00-497 Warszawa, ul. Nowy Świat 4
www.wuw.pl; e-mail: wuw@uw.edu.pl
Dział Handlowy WUW: tel. (48 22) 55-31-333; e-mail: dz.handlowy@uw.edu.pl
Księgarnia internetowa: www.wuw.pl/ksiegarnia

Wydanie 1

Druk i oprawa Fabryka Druku

trzydzieści plus uczy córeczkę jeździć na rolkach; grupka nastoletnich rowerzystów, którzy wypróbowują różnego rodzaju tricki pośród spacerowiczów; para emerytów z wózkiem; dwóch starszych panów prowadzących na ławce żywą rozmowę; para młodych motocyklistów na przechadzce; trzy kobiety pięćdziesiąt parę, zapewne koleżanki, spacerujące i rozmawiające; dziadek, który jeździ po całym parku na hulajnodze „ukradzionej” wnuczkowi (tak mi nie mam, bo wnuka nie widać, tak bardzo hulajnoga zawładnęła dziadkiem). Para licealistów wyleguje się romantycznie nad wodą. Inna para, zapewne już małżeństwo z kilkuletnim stażem, zatrzymała się na chwilę na środku chodnika i zaczęła się całować. Młoda rodzina, ewidentnie zarabiająca grubo poniżej średniej krajowej (tata ma spore braki w uzębieniu), ubrana z niedzielną elegancją, chodzi po wyspie i je lody. Praktycznie każda grupka, którą można zauważyć na wyspie, to inna konstelacja społeczna. Dopiero gdy rejestruję tę różnorodność, uświadamiam sobie, że trudno w Polsce znaleźć podobne miejsce, w którym w tym samym czasie przebywają tak odmienni ludzie – wiekowo, subkulturowo czy społecznie.

Na Wyspie Młyńskiej szokuje fakt, że przychodzą tutaj przedstawiciele bardzo różnych klas społecznych i żadna z nich nie czuje, iż nie jest to miejsce dla nich. Pierre Bourdieu, francuski socjolog, pisał, że różnica klasowa pojawia się nie wtedy, gdy nie wolno komuś gdzieś wejść, ale gdy czujesz się w określonym miejscu nieswojo. Wystarczy porównać to, kogo widać na Wyspie Młyńskiej, z tym, co się dzieje na przykład w centrach handlowych, na rynkach dużych miast czy chociażby w łódzkiej Manufakturze – o której tak wiele i tak dobrze pisano. W tych pseudopublicznych przestrzeniach dobrze mogą się czuć tylko ludzie, dla których pieniądze nie stanowią bariery i dla których komercjalizacja tych przestrzeni jest niewidoczna (no chyba że oszpeca miejski krajobraz). Na Wyspie Młyńskiej nikt nie podejrze do ciebie i nie rzuci pytania: „Czy mogę w czymś pomóc?”, sugerując w ten sposób: „Nie należysz tutaj, zjeżdżaj!”. Największym magnesem i jednocześnie centrum wyspy jest ogromny, nowoczesny plac zabaw. Dzieci są tutaj wszędzie i to one nadają ten niespotykany, swobodny ton. Dzięki temu nie jest to przestrzeń dla zatamizowanych, konsumujących jednostek, ale miejsce, gdzie ma szansę zaistnieć życie społeczne, czyli publiczne. Choć „sekret” Wyspy Młyńskiej to nie tylko dzieci, ale też i „ukryta” historia kultury miejskiej takich ośrodków, jak Bydgoszcz.

Doniosłość transformacji, jaką przeszła Wyspa Młyńska, dotarła do mnie w chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że w tym samym czasie, jak tam stoję, w telewizji leci „Familiada”. Przez większość lat dziewięćdziesiątych niedziela dla większości bydgoszczan to był właśnie spacer albo do kościoła, albo

do supermarketu (czasami i do jednego, i drugiego), potem obiad, a potem „Familiada” i już do wieczora przed telewizorem. Do supermarketu nie chodziło się po zakupy, tylko raczej zakup był pretekstem, żeby wyjść z domu. Do kościoła też nie do końca się chodziło, bo tam, gdzie się wychowałem, spora część osób wcale nie wchodziła do środka, tylko stała przed kościołem w tzw. lasku i swobodnie rozmawiała w trakcie mszy, którą słychać było jedynie w tle, a czasami w ogóle. Teraz jest gdzie wyjść i nie trzeba szukać pretekstu. I przychodzą na wyspę nawet ludzie z odległego Fordonu – dzielnicy leżącej niemal 10 kilometrów od centrum, która przez długi czas przez drakońskie ceny biletów komunikacji miejskiej została sztucznie oddzielona od tzw. miasta, czyli reszty Bydgoszczy. Fenomen Wyspy Młyńskiej polega na tym, że obudziła ona pokłady bardzo specyficznej kultury miejskiej, pewne dziedzictwo kulturowe, które przez ostatnie 20 lat było jakby uśpione. Kultury, która jest niezwykle cenna, ale która z perspektywy wielkomiejskiej (dominującej w dyskursie miejskim w Polsce) z reguły nie jest ani zauważana, ani doceniana.

Dzieje miast bez historii

Najważniejszym faktem z historii Bydgoszczy (o którym jednakże nie przeczytamy w broszurach dla turystów) jest to, że była i jest ona miastem robotniczym. Tutaj zawsze żyło się skromnie. Pamiętam, gdy w latach osiemdziesiątych jeździliśmy w odwiedziny do rodziny w Trójmieście – dwie i pół godziny pociągiem i byliśmy w innym świecie, zdominowanym przez portowy handel, zagraniczne produkty i szafą gdyńskiej hali targowej. Do Bydgoszczy wszystko to przyszło później i w okrojonej formie. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych po mieście krążył przepis na „sok pomarańczowy”. Dwie pomarańcze należało przez kilka godzin gotować w wodzie razem z kilkoma marchewkami, a następnie wszystko to zmiksować. Skórki pomarańczowe dawały smak, marchewki kolor i „robiły objętość”. W tani sposób otrzymywano coś w rodzaju „Kubusia” (którego nie było jeszcze na rynku) o smaku pomarańczopodobnym. Te tanie imitacje egzotycznego soku były hitem niejednych bydgoskich chrzcin czy komunii. Takie „patenty” ukazują niezmierną innowację kulturową, która drzemie w miastach pokroju Bydgoszczy. Jednak jest to innowacja zwykłych ludzi, za którą nikt nie przyzna nagrody Nike czy tytułu Europejskiej Stolicy Kultury.

Bydgoszcz jest (podobnie jak większość polskich miast z wyjątkiem Warszawy, Krakowa, Gdańska i kilku innych największych ośrodków), używając

pojęcia antropologa Erica Wolfa¹, klasycznym „miastem bez historii”. Moim ulubionym przykładem tej idei jest Muzeum Miasta Łodzi – zdominowane przez pamiątki po „wybitnych osobach”, które były (przez chwilę) z miastem związane i którym udało się zaistnieć w wielkim świecie. Są to m.in. kombinezon narciarski Jerzego Kosińskiego, order Artura Rubinsteina czy kubek z napisem „Carpe Diem”, z którego pił kiedyś Jan Karski. O Łodzi nie mówią one zupełnie nic. Ale ilustrują świetnie przekonanie, że łodzianin staje się istotą historyczną dopiero wtedy, gdy opuści miasto i włączy się w nurt „wielkich” wydarzeń o charakterze ogólnonarodowym czy globalnym. Warszawiak czy nowojorczyk w tym sensie ma łatwiej: nie musi wyjeżdżać, gdyż historia narodowa czy globalna dzieje mu się za oknem.

Jednakże pod cienką warstwą oficjalnej historii z podręczników do szkoły średniej istnieje całe dziedzictwo, które jest przekazywane przede wszystkim ustnie, z pokolenia na pokolenie. W ten sposób można zrekonstruować dzieje polskich miast bez historii i zrozumieć fenomen polskiej kultury miejskiej, która nie jest kulturą wielkomiejską lub kształtowaną głównie przez inteligencję i jej postszlachecką tradycję. Dzięki temu, że Bydgoszcz nigdy nie była miastem inteligentnym, nie ma tutaj tego arcypolskiego zadęcia, które punktował z lubością Gombrowicz, lub, mówiąc językiem bardziej akademickim, próżno szukać tutaj tego, co historyk Błażej Brzostek nazywał niedawno „solennością” polskiej przestrzeni miejskiej. Brzostek nazywał w ten sposób w swojej świetnej książce *Za progiem*² (o gomulkowskiem Warszawie) proces przenoszenia na grunt miejski pewnych hierarchicznych zachowań społecznych, wykształconych w czasach, gdy Polska była krajem rolniczym, a dwie grupy społeczne, które można było nazwać Polakami, to byli chłopcy i szlachta. Brzostek cytuje przede wszystkim uwagi „dobrze wychowanych” mieszczuchów na temat „niegrzecznego” zachowania nowo--miejskiej „hołoty”. Efekt był taki, że, jak zauważył już w okresie międzywojennym przybysz z Chorwacji, w Warszawie „nie śpiewa się i nie gwizdże na ulicy, w tramwaju ludzie nie gadają [...] nikt się nie śmieje, nikt w tym mieście nie krzyczy [...] nawet dziwki po ulicach chodzą poważne jak matrony”. Oczywiście jest to obraz przerysowany, tym niemniej w miastach, takich jak Bydgoszcz czy Łódź (jedyne duże polskie miasto, gdzie wciąż widać kulturę spędzania czasu wolnego na ulicy), w których ton nadawali robotnicy, a nie inteligencja, takiej warszawskiej „solenności” zachowań publicznych było zdecydowanie mniej.

1 E. Wolf, *Europe and the People Without History*, University of California Press, Berkeley 1982.

2 B. Brzostek, *Za progiem. Życie codzienne w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955–1970*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007.

Bydgoszcz wyrosła na kanale, który połączył Odrę z Wisłą, i zbudowała się na drobnym handlu. Do tej drobnomieszczańskiej tradycji i ludności po 1945 roku dołączyła spora rzesza uchodźców zza Buga, głównie biedoty miejsko-wiejskiej, która po wojnie zaczęła przekształcać się w klasę robotniczą. Te dwa czynniki, połączone z dość dobrze prosperującym i zróżnicowanym przemysłem (brak monokultury, takiej jak na Śląsku czy w Łodzi) oraz brakiem uniwersytetu i tradycji inteligenckich, wytworzyły silną kulturę miejską, zdominowaną przez wykwalifikowanych robotników. To odróżnia Bydgoszcz na przykład od Wrocławia, do którego po 1945 roku przyjechali podobni ludzie, ale który musiał zmierzyć się z „wielkowiejskością” Breslau czy Lwowa (choć większość „lwowiaków” przybyłych do Wrocławia pochodziła ze wsi, a nie z miasta – z okolic Lwowa lub z Kieleckiego).

„Robotniczość” Bydgoszczy widać w bodajże najciekawszym produkcie kulturowym przemysłowych miast zachodniej Polski – żużlu. Już w latach pięćdziesiątych był to, obok boksu, najpopularniejszy sport bydgoskich robotników – na który przychodziły całe rodziny (mój dziadek na przykład zabierał na mecze żużlowe moją kilkuletnią mamę). O ile na przykład wśród górników boks cieszył się niesłabnącą popularnością (wielu z pierwszych bokserów rekrutowało się z zawodów, które wymagały dużej tężyzny fizycznej, takich jak kowalstwo czy właśnie górnictwo), tak w miastach przemysłowych Polski Zachodniej żużel stopniowo wyparł boks, przede wszystkim dlatego, że jako sport opierał się na umiejętności pracy z maszynami.

Demokracja nie-wielkowiejska

Żużel jest industrialnym rodeo, gdyż chodzi w nim o sztukę ujarznienia maszyny – zawodnicy ścigają się na motorach bez sprzęgieł i bez hamulców, dosyć szybko osiągając maksymalną prędkość. Sukces w tym sporcie zależy z jednej strony od sztuki „dostrojenia” maszyny przez mechaników, a z drugiej od umiejętności ułożenia ciała zawodnika w taki sposób, aby w odpowiednim momencie uzyskać minimalną przewagę nad przeciwnikami. I oczywiście od brawury: praktycznie każdy liczący się żużlowiec zaliczył w swojej karierze niebezpieczny wypadek, a widmo kraksy wisi nad zawodami i podnosi temperaturę na stadionie. Absolutnym geniuszem żużla i osobą odpowiedzialną w dużej mierze za pojawienie się pojęcia „pojechać po bandzie” jest Tomasz Gollob – nieśmiały i jękający się chłopak, który na motocyklu stawał się groźnym zawodnikiem. Gollob jeździł bardzo ostro i czasem niebezpiecznie do tego stopnia, że w 1995 roku Craig Boyce po tym, jak na skutek ostrej jazdy Golloba zaliczył upadek, podszedł do niego po wyścigu i uderzył go pięścią w twarz – a spora część środowiska żużlowego potem

dorzuciła się do kary, którą Boyce musiał za to ponieść. Mimo że żużel jest jedynym sportem, w którym najważniejsza liga świata znajduje się w Polsce, pokazując, że peryferia mogą o własnych siłach przeistoczyć się w centrum, gdyż wystarczy do tego nieco pomysłowości, to w porównaniu do piłki nożnej czy skoków narciarskich przez ostatnie 20 lat był traktowany przez ogólnopolskie media po macoszemu, jako zjawisko podobnie jak „disco polo” wstydlive, bo kłójące się z wielkomięjskimi gustami.

Złośliwi twierdzą, że przez ostatnie dziesięć lat Bydgoszcz straciła swoją szansę na doścignięcie polskich miast-liderów. Jak twierdzi jedna z osób pracujących w magistracie, inwestycje powinny być nieco „przeskalowane”, dzięki czemu Bydgoszcz zaczęłaby wyglądać bardziej jak Kraków czy Wrocław. W tej chwili, gdy spaceruje się po centrum Bydgoszczy, trudno jest powiedzieć, czy to miasto liczy kilkadziesiąt, czy kilkaset tysięcy mieszkańców. Jednakże może właśnie dzięki brakowi tego rozmachu Bydgoszcz uniknęła gigantomanii, która dominowała w bardziej „ambitnych” miastach. I tak po latach dwutysięcznych w Poznaniu pozostanie stadion Lecha, w który wpompowano blisko miliard złotych, a w Bydgoszczy za 25 milionów stworzono prawdziwą przestrzeń publiczną. Jakiś czas temu poznański magistrat urządził akcję propagandową, mającą udowodnić, że stadion był dobrą inwestycją i że również mieszkańcy mogą z niego korzystać: pewna para wylosowała możliwość zjedzenia romantycznej kolacji na płycie boiska, w świetle jupiterów. Na Wyspie Młyńskiej można takie chwile spędzić w dowolnym momencie i nie trzeba być szczęściarzem wylosowanym w trybie konkursu. Może jednak jest się czego nauczyć od naszych miast „małomiejskich”.

Nie wydaje mi się przypadkowe, że prawdziwa, bo demokratyczna, przestrzeń publiczna pojawiła się w mieście takim jak Bydgoszcz, a nie w Krakowie czy Poznaniu. Przekonanie, iż każdy człowiek jest równy bez względu na wykształcenie, wyniosłem właśnie z bydgoskiego podwórka, na którym bawiły się dzieci z bardzo różnych domów. Bydgoski demokratyzm nie jest antyinteligentki, ale a-inteligentki. Odnalazłem go później w krótkiej piosenke zespołu Dezerter pt. *Bzdury*: „głupi ludzie wierzą w głupie bzdury, mądrzy ludzie wierzą w mądre bzdury”. Wbrew pozorom nie ma i nie było w Polsce ośrodka politycznego czy intelektualnego, który hołubiłby tak właśnie rozumiany demokratyzm; każdy, od prawa do lewa, buduje swój autorytet na (różnie pojętym) poczuciu wyższości, misji czy wiedzy eksperckiej. Przykładów na strach polskich elit przed tzw. zwykłym człowiekiem jest mnóstwo. W Polsce wciąż niespełniony pozostaje postulat, wedle którego głupi i mądrzy, młodzi i starzy, ładni i brzydzy mają takie same prawa do korzystania i współtworzenia dobra wspólnego.

Jak świetnie pokazuje Paul Mason w książce *Live Working or Die Fighting*³, przekonanie, że klasa robotnicza odeszła do lamusa, jest złudne: z perspektywy długiego trwania najważniejszym faktem ostatnich trzydziestu lat jest pojawianie się nowych dwóch miliardów robotników. Problemy robotników w dzisiejszych Chinach, Indiach, Nigerii czy Argentynie są niezwykle podobne do tego, z czym borykali się robotnicy w industrializującej się Europie i Stanach jakieś 150 lat temu – i dlatego warto przypomnieć te zapomniane już historie. Są one, twierdzi Mason, bardziej adekwatne do współczesnego świata niż doświadczenie lat 1945–1989. Z tej perspektywy to miasta, takie jak Bydgoszcz czy Brzeziny, którym, swoją drogą, Mason poświęca cały rozdział (gdyż tam właśnie odnalazł „najlepszy bodaj przykład na to, jak robotnicy stworzyli własną, kulturowo autonomiczną wspólnotę”), są bardziej w centrum globalnej historii niż polskie „metropolie”. Również dlatego, że to tam wciąż tli się duch demokratyzmu – rodzący się nie z książek i teoretycznych dysput czy importowany z rzekomo „dobrych praktyk” na Zachodzie, ale z doświadczenia codzienności i tego, co Mason nazywa „robotniczym republikanizmem” – którego filarami były (i pozostają) idea egalitaryzmu, kulturowa autonomia oraz projekt samodoskonalenia się. Jednakże w kraju, w którym zdecydowana większość (której nie stanowią potomkowie Lubomirskich czy Potockich) wciąż pozostaje „ludem bez historii”⁴, demokracja pozostanie paternalistyczna i będzie się opierać na hegemonii mniejszości.

Prawdziwa demokracja – aż boję się użyć tego słowa – to demokracja ludowa. Ale może dlatego, że została skompromitowana w latach 1945–1989 (kiedy to, mimo że Polska z kraju rolniczego stała się krajem zurbanizowanym, słowo „lud” wciąż oznaczało mieszkańców wsi) i dziś z trudem przechodzi przez gardło, idea demokracji ludowej jest postulatem, o który warto powalczyć. Właśnie dlatego, że demokracja miejska, aby nie przerodziła się w swoją karykaturę, czyli w demokrację wielkomiejską, musi być również, a może przede wszystkim, demokracją ludową.

Kacper Pobłocki – adiunkt w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Absolwent University Col-

3 P. Mason, *Live Working or Die Fighting: How The Working Class Went Global*, Harvill Sacer, London 2007.

4 Zob. L. Mergler, K. Pobłocki, *Nadchodząca rewolucja miejska*, <http://www.my-poznaniacy.org/index.php/nasze-idee/demokracja-miejska/466>.

lege Utrecht, Central European University w Budapeszcie oraz Center for Place, Culture and Politics przy Uniwersytecie Miejskim (CUNY) w Nowym Jorku. Publikował m.in. w „Critique of Anthropology”, „Focaal” i „Polish Sociological Review”. Jego praca doktorska pt. *The Cunning of Class: Urbanization of Inequality in Post-War Poland* została wyróżniona w 2011 roku nagrodą Prezesa Rady Ministrów. Członek redakcji „Res Publici Nowej”.